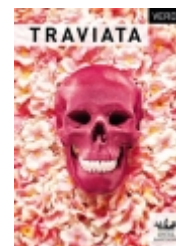


Traviata, czyli jak oszukać śmierć

 dziennikteatralny.pl/artykuly/traviata-czyli-jak-oszukac-smierc.html

"Traviata" - komp. Giuseppe Verdi - reż. Mariusz Treliński - Teatr Wielki - Opera Narodowa w Warszawie

Ustalmy od razu – śmierci oszukać się nie da. Może ją zatrzymać, opóźnić, przechytrzyć, osłodzić jedynie miłość. Więc marzą o niej ludzkie serca i wyją o miłość z niegasnącą nadzieją – męskie i kobiece, stare i młode, czyste, zbrukane, wszystkie, tak samo i bez wyjątków. O tym właśnie napisał kiedyś powieść „Dama kameliowa” Aleksander Dumas syn, następnie Giuseppe Verdi skomponował do libretta opartego na tej powieści operę „La Traviata”, której imponujące wystawienie zrobił czternaście lat temu w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej reżyser Mariusz Treliński. W połowie lutego w Warszawie odbyło się sześć przedstawień tej inscenizacji.



Przypomnijmy pokrótce treść opery: Violetta Valéry, piękna paryżanka nieprzesadnie ciężkich obyczajów, podczas jednego z hucznych balów, jakie wystawia w swoim domu, gdzie żyje w układzie z majątnym kochankiem, otrzymuje płomienne wyznanie miłości od młodego arystokraty, Alfreda Germont.

Dramatyzmu sytuacji dodaje fakt, iż nasza bohaterka choruje na najmodniejszą wówczas w towarzystwie chorobę – galopujące suchoty, na co antidotum ma być życie wystawne i rozwiązłe. Szczerłość uczuć młodego adoratora robi jednak na Violetcie wrażenie i skłania ją do porzucenia paryskiego zgiełku i obłudy oraz do odnalezienia nowego życia u boku ukochanego na prowincji. Sielanka kończy się, gdy trzeba zadbać o koszty życia, co, jak się okazuje, wymaga nakładów pracy i trosk, oraz po brutalnej ingerencji ojca Alfreda, który żąda od Violetty, by porzuciła ukochanego dla dobra jego przyszłości i rodziny, konkretnie siostry, która przez związek brata z kobietą o dość mocno poszlakowanej opinii może utracić możliwość dobrego zamążpójścia. Zrozpaczona Violetta podejmuje się złożyć tę ofiarę, a wiedząc, że Alfredo nie uwierzy w żaden inny powód rozstania, oszukuje go, iż porzuca go dla dawnego życia i poprzedniego układu z Baronem. Alfredo wybucha zazdrością i nienawiścią, także wraca do Paryża i publicznie lży Violetkę. W końcu się godzą i wszystko sobie wyjaśniają oraz wybaczą, ale ona i tak umiera na wzmiankowaną wyżej chorobę.

W reżyserii Trelińskiego Violetta jest ukazana przeze wszystkim jako kobieta cierpiąca, co bardzo mnie ujęło. Uwertura ukazuje ją wstającą z trumny, ona już jest umarła, to nie jest finał opery, tylko punkt wyjścia. Kobieta pozornie pełna życia, w samym środku wyuzdanych uciech, zgiełku, blichtru, w rzeczywistości umiera z braku prawdziwej miłości oraz przez chorobę wyniszczającą jej ciało. Violetta jest też krzyżowana – gest otwartych ramion pojawiający się w kilku momentach opery ustawia sylwetkę bohaterki w literę T: wygląda ona jak rozpięta na krzyżu. Nie kojarzy się to obrazoburczo, przeciwnie, jest

bardzo subtelne i poruszające. Przed sceną zemsty zranionego Alfreda mamy też matadorów i przebijanie Violetty włóczniami, które wyginają ją w bolesnych konwulsjach, oczywiście nie dosłownie, ale obraz jest wstrząsający.

Scenografia autorstwa Borisa Kudlički tworzącego z Trelińskim znany operowy duet twórczy, jest błyszcząca, wieczorowa, luksusowa, wyraziście kolorowa i urzekająco czarno-biała. Violetta jest w tej inscenizacji gwiazdą rewii, a życie na prowincji obrazuje taras beżowej rezydencji z prawdziwym (!) basenem. Kostiumy zaprojektowali Gosia Baczyńska i Tomasz Ossoliński. Te dla tancerzy i tancerek są isticie rewiowe – wyzywające, błyszczące, krzykliwe, chwilami niemal nagie. Chór – ekstrawagancja towarzystwa, które lubi się bawić. Z kolei stroje arystokratów są jasne i stonowane (panowie mogliby mieć jednak nieco dłuższe marynarki). Violetta jest na zmianę artystką burleski – szpilki, pończochy, gorset – i elegancką kobietą w prostej sukni, która emocje chowa za ciemnymi okularami, a coraz bliższa śmierci ogałaca się do bosych stóp i halki. Całość idealnie zgrywa się ze scenografią, gdzie mamy scenę rewiową, kulisy, pokoiki, korytarze, a wszystko w ciągłym niemal obrocie.

W koncepcji reżyserskiej przeszkadzało mi głównie częste chodzenie bohaterów po scenie. Domyślałam się, że miało przedstawiać wewnętrzny dygot Violetty i Alfreda, ale odbiło się negatywnie na wyrazistości scen oraz, bardzo przyziemnie, na jakości śpiewanych przez nich dźwięków. W pierwszym akcie soliści się dopiero rozkręcali.

Adriana Ferfecka w tytułowej roli prawdziwy kunszt wokalny i aktorski pokazała w akcie drugim, w scenie silnie nacechowanego emocjami dialogu z ojcem ukochanego. Według mnie przewyższyła swoich partnerów scenicznych głębią interpretacji tragicznej postaci Violetty. Łukasz Goliński jako Giorgio Germont dotrzymywał jej w tej scenie kroku, jednak emocjonalną poprzeczkę trzymała Ferfecka, i to bardzo wysoko oraz do samego końca, mistrzowsko wykonując także finałową arię „Addio del passato”, która jest – wbrew pozorom – trudniejsza od „È strano / Ah, fors'è lui / Sempre libera”. Ktoś kiedyś podobno zbadał i policzył, jaka jest najtrudniejsza rola sopranowa świata – to Violetta Valéry. Bez przerwy jest na scenie i śpiewa, tessitura i ambitus roli są bardzo wymagające, a sama postać to kilka różnych rodzajów sopranu – koloraturowy, liryczny, dramatyczny.

A ten cały Alfredo właściwie zawsze mi działał na nerwy. Bierze sobie taką kobietę, delikatnie mówiąc, przechodzoną, niby wielką miłość, ale przy pierwszym kryzysie: a ty taka i owaka, i to publicznie. Trelińskiego też chyba ten bohater denerwuje, bo Alfredo w tej inscenizacji jest naprawdę irytującym, gnuśnym samolubem. Odtwarzający tę partię Tadeusz Szlenkier śpiewał bez namiętności, choć przecież potrafi, a chwilami brzmiał nawet bez przekonania. Jedyna prawdziwie pełna wyrazu w jego wykonaniu scena to kłótnia o Violetkę z Baronem po rozstaniu. Ale już publiczne upokorzenie kochanki wypadło mało ogniście. Niepotrzebne, to uwaga do reżyserii, było przydługie wymachiwanie przez Alfreda banknotami. Ta scena powinna zawierać element zaskoczenia i ciśnięcia w niefortunną piątą powinnoby wszystkie, nawet znającymi libretto na pamięć, wstrząsnąć, który to wstrząs oczywiście nie nastąpił, bo nie mógł, skoro został zbyt łopatologicznie przedstawiony.

Muszę jeszcze odnotować dwa dziwne dla mnie zjawiska, czy też wybory interpretacyjne, chyba dyrygenta Patricka Fournillier: cabaletta Alfreda „O Mio Rimorso! O Infamia!” wybrzmiała według mnie o wiele za wolno, a aria „Addio del passato” skończyła się po pierwszej zwrotce. Czy taka jest teraz przyjęta praktyka wykonawcza, czy też był to uzasadniony czymś wybór, nie wiem, ale wiem, że w oryginalnej partyturze są dwie zwrotki.

Chór był jak zawsze świetnie przygotowany i dawał radę wytrzymać bardzo ambitne tempa, podobnie wspinała Orkiestra oraz tancerze wykonujący układy choreograficzne autorstwa Tomasza Jana Wygody. W pomniejszych rolach świetnie wypadli śpiewacy Paweł Trojak jako Markiz d'Obigny oraz Mirosław Gotfryd jako Posłaniec.

„Traviata” trwa ponad trzy godziny i przez ten czas można było uzdrowić własne myślenie o złamanym sercu, nieuchronności śmierci i marności żywota w tej łez dolinie. Bo choć historia jest smutna, niesprawiedliwa, i kończy się tragicznie, przynosi splakanej ze wzruszenia duszy oczyszczenie. A przecież po katharsis chodzimy do teatru.

Agnieszka Kledzik

Dziennik Teatralny Warszawa

19 lutego 2024

Teatry

Teatr Wielki - Opera Narodowa w Warszawie

Portrety

Mariusz Treliński

